TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $1.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 1.50

DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $2.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 2,50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 36. *Chicago, Ills., 4 Marca, 1886 r.* Rok II.

OPACTWO CARROW

— PRZEZ —

J. F. SMITH

Z ANGIELSKIEGO

CZĘŚĆ DRUGA:

KWIAT ALOESU

(Ciąg dalszy.)

Renegat zajmował małe mieszkanie w blizkości Londynu. Na sprzętach leżały porozrzucane lancety i narzędzia chirurgiczne. Na jednym stoliku, tuż pod ręką, znajdowała się maleńka piła półkolista, podobna do tych, jakich używają do trepanowania. Khan w milczeniu na nią spoglądał.

— Muszę tego dokonać! — rzekł nakoniec z głębokiem westchnieniem, a oczy jego zajaśniały jakimś blaskiem radości czy nadziei,

Wtem do drzwi lekko zapukano. Zerwał się, a spojrzawszy przez otwór w zamku, by poznać przybywającego, odsunął zasuwkę i otworzył drzwi staremu doktorowi Guyot.

— Cha! cha! — rzekł sędziwy praktyk, kiwając głową z wyrazem pochwały, gdyż się obadwa niektóremi doświadczeniami naukowemi zatrudniali, — udało ci się wybornie!

— Z łaski twojego pouczenia.

— Ale i wielkiej cierpliwości z twojej stro-

ny... Spodziewam się, że nie zapomniałeś o twojej obietnicy?

— Jakiej obietnicy? — zapytał Khan zadziwiony, albowiem cała myśl jego zajęta była skutkiem, jaki praca jego osiągnąć miała.

— Mówię o wynagrodzeniu, któreś mi przyrzekł, — odparł lekarz.

Mieszkaniec szczupłej izdebki otworzył szkatułkę żelazem okutą, która stała na jednym ze stolików, w pobliżu geparda na uwięzi leżącego, i wydobył z niej woreczek napełniony złotem, który wetknął do rąk chciwego Francuza.

— Oto masz umówioną zapłatę — rzekł.

— Rzetelny z ciebie człowiek! — zawołał doktor przeliczywszy połyskujące gwinee; — wprawdzie jedna czy dwie są nieco leksze, ale z przyjaźni nie chcę być tak ścisłym w wymaganiach. Oby ci się udało! — dodał wstając z krzesła by pożegnać gospodarza.

— Zatrzymaj się! — zawołał uczeń surowo, — mam ci zadać pytanie.

— O co? — zapytał starzec obracając się z niespokojnością.

— Na które masz mi szczerze odpowiedzieć; znasz mnie bowiem dostatecznie, aby nabrać przekonania, że ze mną żartować nie można!

— Mów, o co idzie? — zawołał doktor coraz bardziej rozciekawiony.

— Jak się miewa twoja pacyentka w Cromwell-House?

Pytanie to wprost wyrzeczone tak było niespodziewane, że pomimo całej przytomności umysłu, Guyot nie umiał ani skłamać ani ukryć zakłopotania.

— Jaka pacyentka? — wyjąknął wreszcie.

— Ofiara zdrady wiarołomnego opiekuna i namiętności upartego młodzieńca zmarłego sir Williama Mowbray; miss de Vere!

— Już zdrowsza, — szepnął stary, — znacznie się jej polepszyło.

— Czy ją Miran już widział?

— Jeszcze nie od czasu jej słabości.

— Należy się starać, aby się z nią nie widział wcale! — rzekł Khan stanowczym głosem. — Obecność jego mogłaby zabić biedną dziewczynę!... Posłuchaj mnie: Nie objawiam nigdy żądania, któregobym w rozkaz zamienić nie potrafił. Musisz wynaleźć sposób uwolnienia ją z tego więzienia.

— Ja! — krzyknął doktor przerażony. — Nie wiesz, jak jest ściśle strzeżoną. On, ten Indyanin młody, o którym wspomniałeś, i pułkownik, nie oddalają się z domu ani we dnie ani w nocy!

— Domyślam się tego.

— Ayah także pilną ma baczność; słudzy zupełnie są panu swojemu oddani.

Chociażby ją sami szatani otaczali, musisz koniecznie szukać środków do jej oswobodzenia. Wiedza nastręczy ci rozlicznych sposobów do tego.

— A dla czegóżbym miał się do nich uciekać?

— Dla twojego własnego bezpieczeństwa. Pomnij, mówiłem ci, że jeżeli o co proszę, mam niezawodnie sposób zamienienia w rozkaz moją prośbę!

— Prawda żeś mi to powiedział.

— A więc, spis twoich zbrodniczych czynów, sum pieniężnych, jakie w nagrodę otrzymałeś, nazwiska tych osób, które twoich przysług potrzebowały, ten cały rejestr wpadł w moje ręce!

Z okrzykiem zadziwienia i wściekłości, doktor Guyot rzucił się na swojego ucznia; broń, którą wyjął z zanadrza zabłysła w jego ręku.

— Psie! — zawołał, — tajemnica ta niechaj z tobą ginie!

Khan cofnął się, aż się znalazł w pobliżu łańcucha, na którym gepard był uwiązany. Zwierz dziki, który przez cały czas tej rozmowy leżał skulony na ziemi, rzucił się ku napastnikowi, wydając mruknięcie przytłumione. W mgnieniu oka powalił na ziemię doktora Guyot stanął na nim, oczekując tylko na skinienie swojego pana, by skoczyć starcowi na piersi.

— Szaleńcze! — rzekł do niego renegat spokojnie, — myślisz, że nie byłem na to przygotowany? Teraz słuchaj mnie uważnie. Zostawię cię tu pod strażą mojego wiernego obrońcy, a sam udam się do urzędnika sądowego, któremu wręczę te zapiski twoich zbrodni, wkrótce powloką cię do więzienia wśród szyderstw i nagrawań motłochu, jeżeli zresztą oburzenie pospólstwa dozwoli ci żywcem dojść do kaźni...

— Stary lekarz wyjąknął:

— Poddaję się! jakie są twoje warunki?

— Renegat je wymienił i tak oględnie zabezpieczył zawartą umowę, że chytry doktor Guyot nie miał żadnego sposobu uchylić się od ich dotrzymania,

IX.

Dzięki umiejętności starego lekarza, Ellena zaczynała powoli przychodzić do zdrowia z niebezpiecznej gorączki, która przez kilkanaście dni śmiercią jej nieuchronną zagrażała. Zuzia okazywała się dostatecznie poświęconą dla swojej młodej pani; czuwała przy jej łóżku jak siostra lub matka najtroskliwsza. Starała się nie spuszczać ją z oczu ani na chwilę; sama przyrządzała leki przepisane przez dziwnego doktora, a chora wśród obłąkania, jakiemu przez czas największego przesilenia choroby ulegała, nie byłaby z niczyjej ręki nic przyjęła, tylko od swojej przychylnej młodej towarzyszki.

Okoliczność ta żółcią i goryczą napełniała serce Indyanki, która widziała przez inną zajmowane swoje dawne miejsce w sercu Elleny. Nienawidziła a zarazem kochała młodą służebnicę, bo jeżeli czuła żal do niej za to, że jak mniemała, ona jej odebrała przywiązanie miss de Vere, to z drugiej strony była jej wdzięczną za czułe poświęcenie, z jakiem pielęgnowała sierotę.

— Daleko ci już lepiej, miss Elleno, — rzekła Zuzia układając jak najwygodniej poduszki pod głowę chorej. — Nie mogę sobie darować, żem tak złe powzięła mniemanie o tym szkaradnym doktorze Guyot, który przecie nie jest tak zły, jak się z powierzchowności wydaje. Zdolnością swoją ocalił pani życie!

— Ocalił, abym dłużej cierpieć musiała! — odpowiedziała biedna panienka z bolesnem westchnieniem. — Jestem w mocy człowieka, którego serce innych praw nie uznaje, nad własne namiętności; nie mam żadnego obrońcy, żadnej przyjaznej istoty prócz ciebie, bo nawet Henryk o mnie zapomniał!

— Och nie, panienko! — zawołała jej piękna przyjaciółka, — mogłabym również powątpiewać o dobroci Boga, jak o wierności pana Henryka! Ci, którzy panią przywlekli do tego ponurego mieszkania, mogli także przejąć listy jego i twoje.

— Ale może nie byliby śmieli zatrzymać listów doktora Orine, jego starego przyjaciela; bez wątpienia Henry musiał do niego pisać!

Zuzanna radziła jej, aby się udała z prośbą do doktora Guyot, jeżeli nie dla żądania opieki jego, to przynajmniej aby zechciał wręczyć od niej pismo do jej przyjaciół.

— Doktora Guyot? — odparła chora zadrżawszy, — ani myśleć o tem; uważałam go dobrze, widziałam jego zimne spojrzenie któreby wstrzymało prośbę na ustach... Złoto! oto jedyny klucz do jego serca, a prześladowca mój posiada ten talizman.

— Może jest jeszcze inny klucz do niego! — przemówił głos poważny tuż obok niej.

Obie młode dziewczęta krzyknęły z przestrachu. Lekarz wszedłszy niespostrzeżony podczas ich rozmowy, przybliżył się cicho według swojego zwyczaju do łóżka chorej.

— Czy podobna! — zapytała Ellena odzyskawszy przytomność, — żeby moje dolegliwości serce pańskie wzruszyły? Możesz mi pan przysługę wyświadczyć?

— Mogę!

— A czy pan zechcesz?

— Hm! to zależy od okoliczności! — mruknął stary. — Moje dziecko, — rzekł do Zuzanny, — zejdź-no do kuchni zobaczyć, czy napój, który poleciłem Indyance aby przyrządziła, jest już zrobiony.

Wierna służebnica nie wiedziała co począć. Brzydki starzec takim ją wstrętem przejmował, że się lękała zostawić go sam na sam ze swoją panią.

— Czegóż się wachasz? — dodał lekarz uśmiechając się z goryczą.

— Idź Zuzanno! — rzekła Ellena ożywiona nagłą nadzieją, — nie ma tak twardej opoki, którejby Pan Bóg wzruszyć nie zdołał!

Uspokojona temi słowy, Zuzia odeszła. Lekarz zostawszy sam z chorą przysunął krzesło do łóżka i wyciągając swoją długą, kościstą rękę, położył palec na tętno małej rączki Elleny.

— Ciągle gorączka! — szepnął, — zawsze ta gorączka!

— Nie zważaj pan na to! — odrzekła, — umysł mam już przytomny! bo widzę jasno moje opłakane położenie. Nie mam innej nadziei chyba w tobie, innego przyjaciela prócz Boga!

— Masz pani innego jeszcze!

— Innego przyjaciela?... jakże się zowie? — zapytała spiesznie Ellena.

— Tego nie umiem powiedzieć. Rozkazał... jestem mu posłuszny, zamiar powzięty jest niebezpiecznym... bo ten, który cię pilnuje, jest człowiekiem zapalczywym i namiętnym i gra z życiem ludzkiem jak falę morskie z ło-

dzią; rozumu swojego używa nie na powstrzymanie swoich zachceń, ale na dogodzenie takowym.

Dreszcz przeszedł po członkach biednej Elleny; domyśliła się, że mówił o Miranie.

— Ten przyjaciel twój zalecił mi, abym panią wybawił z rąk tego prześladowcy, załączając wszelako warunek, który utrudnia to zadanie.

— Jakiż to warunek? — zapytała chora.

— Abym oszczędzał tego indyjskiego młodzieńca! Inaczej byłoby to łatwem, — szepnął do siebie. — Już od trzech dni oszukuję go pod względem stanu zdrowia pani, twierdząc przed nim, że ciągle cień śmierci krąży nad tobą, że najmniejsze wzruszenie twój koniec przyspieszyć może. Dla tego wstrzymuje on się jeszcze od odwiedzenia ciebie.

— Utrzymuj go pan w tym błędzie, a błogosławić cię za to będę, albo, jeżeli nie będzie sposobu uniknięcia jego odwiedzin, spraw aby twoje wyrazy w rzeczywistość się zamieniły!

— A to jakim sposobem? — zapytał lekarz wpatrując się w chorą badawczym wzrokiem.

— Zadając mi śmierć, która mnie uwolni od natrętnego wielbiciela.

Żądanie to stanowczym wyrzeczone głosem, wzbudziło zadziwienie w starcu, przywykłym napotykać w tych, co się udawali do niego o poradę, największą obawę i przestrach przed śmiercią.

— Ta ostateczność nie stała się jeszcze potrzebną, — odpowiedział. — Masz pani zaufanie do mnie?

Ellena zastanowiła się na te słowa; serce jej gwałtownie bić zaczęło.

— Czegóż się mam lękać? — rzekła sama do siebie. — To moja ostatnia ucieczka!

I ożywiona gorączkową nadzieją i obawą, rzekła głośno i dobitnie:

— Uczynię, co rozkażesz!

— Słuchaj-że pani uważnie, — przemówił przytłumionym głosem, jakby się lękał, aby ściany staroświeckiej komnaty nie powtórzyły tych wyrazów. — Jutro wieczorem, kiedy się wszyscy udadzą na spoczynek, okryjesz się pani czarnym płaszczem i zasłoną, którą z sobą przyniosę.

— Ale Zuzanna? — przerwała Ellena słuchając bacznie słów doktora.

— Nie lękaj się, ona ci będzie towarzyszyć... Skoro usłyszysz głos podobny do krzyku puszczyka, trzykrotnie pod oknem tego pokoju powtórzony, wyjdziesz ztąd jak można najciszej.

— Niestety! — rzekła nieszczęśliwa, — na noc drzwi są na klucz zamknięte, a moja zdradliwa mamka klucz z sobą zabiera.

Starzec wstał, cicho przybliżył się do drzwi i uważnie przypatrywał się zamkowi. Potem, przekonawszy się, że nic łatwiejszego jak powyciągać śruby, usiadł znowu na dawnem miejscu.

— Już się na to poradzi. Zszedłszy ze wschodów, spotkasz mnie w towarzystwie nieznajomego przyjaciela. Resztę potem zrobimy.

— A jeżeli mnie zawiodą siły?

— Przed wyjściem z pokoju, napijesz się, co ci przyniosę w małej flaszeczce wraz z płaszczem i kwefem, a nie opuszczą cię siły ani odwaga, jakiekolwiek byś miała trudy do znoszenia, przynajmniej przez przeciąg pięciu godzin. Czy przyrzekasz mi pani zastosować się do tych zleceń?

— O najchętniej!

— Pamiętaj o tem, że jeżeliby ucieczka nie udała się w skutek twojej słabości lub braku odwagi w stanowczej chwili, sobie przypiszesz winę; ja bowiem uczynię wszystko, co jest w mojej mocy, może nawet więcej niżbym chciał, aby ci dopomódz. Jest to jedyny środek uniknienia rąk twojego nieubłaganego prześladowcy!

— Odważę się na wszystko, choćby nawet grób miał otworzyć się podemną by mnie pochłonąć. Bądź mi pan pomocnym, a wdzięczność moja nie da ci żałować podarunków Miran-Hafaza, bo ja także jestem bogatą, nie brak mi tego złota, za którem się ludzie ubiegają, tylko przyjaciół i szczęścia mi brakuje!

— Przypomnę pani tę obietnicę, miss de Vere, — rzekł starzec z roziskrzonemi oczyma na myśl o złocie, dla którego tyle razy swoją duszę najszkaradniejszemi obciążał zbrodniami,— jak tylko będziesz wolną!

— A ja rzetelnie dotrzymam przyrzeczenia!

Lękając się wzbudzić podejrzenie Mirana, który niecierpliwie oczekiwał zdania sprawy o zdrowiu ukochanej, doktor Guyot wyszedł z pokoju Elleny ze zwykłą przezornością, unikając zrobienia najmniejszego szmeru; zostawił on sierotę walczącą na przemian z najsprzeczniej-

szemi uczuciami, nadziei, powątpiewania i obawy.

Gdy Zuzanna zeszła do ciemnej kuchni starego gmachu, zastała mamkę i Willa Sidelera siedzących przy obszernem ognisku, na którem w małem naczyniu gotowała się jakaś mięszanina z ziół i innych lekarskich przypraw. Królikarz, prawie całkiem wyleczony z ran i stłuczenia, które odebrał z karzącej ręki swojego pana, spojrzał groźnie na wchodzącą; Zara z chłodną obojętnością patrzyła powoli i zamierzała wyjść z izby.

— Nie zostawiaj mnie z tym człowiekiem! — zawołała młoda dziewczyna, której dawne obawy wróciły na widok starego łotra.

— Nie masz potrzeby mnie się obawiać, — rzekł ponuro Will, — teraz przynajmniej jeszcze, — dodał mrucząc pod nosem, nie wyrzekł się bowiem wykonania powziętego zamiaru zemsty przeciw Joemu Beans.

Ayah dostrzegła dzikie spojrzenie zbrodniarza, i ruchem ręki rozkazała mu wyjść z kuchni.

— Bardzo mi tu dobrze! — odezwał się.

— Nie zostaniesz tutaj, — odparła spokojnie. — Cóżto? — dodała widząc, że się ociągał usłuchać jej rozkazu, — ten pies nie byłże dosyć ukarany jeszcze? czy potrzeba użyć harapa, aby go posłuszeństwa nauczyć?

Sideler wstał ze stołka i kulejąc, zwrócił się ku drzwiom, które mu Indyanka wskazała.

— Wiedz o tem, — mówiła dalej, — że bywają narzędzia, których się używa, ale się niemi pogardza! Śmiej stanąć na progu póki ta dziewczyna w kuchni pozostanie, a kara, jaką otrzymasz, sroższą będzie niż za pierwszym razem! Znajdujesz się w mocy człowieka, który nie zwykł przebaczać.

Nędznik zadrżał na wspomnienie Indyanina: doznał już siły jego ramienia, a to wspomnienie pokonało go jak dzikiego zwierza, który znalazł swego pana. Wydalając się z kuchni, żałował gorzko, że się oddał w moc tego srogiego władzcy. Prawda, że wspólnie postanowili zbrodnię, ale Will sam ją wykonał, i nie miał żadnych dowodów wspólnictwa z Indyaninem, prócz moralnych przekonań.

Zuzia uspokojona po odejściu swojego nieprzyjaciela, zajęła się dopełnieniem poleconej czynności. Ale niebawem lekki szelest koło zakratowanego okna zwrócił jej uwagę; obejrzała się i postrzegła Rudego Ralfa uśmiechającego się do niej z poza szyb ośmiokątnych. Przypomniała sobie dobre serce młodego pastuszka, i uprzejmie doń nawzajem się uśmiechnęła.

— Czyś sama? — zapytało dziecko półgłosem.

— Tak jest, nie ma tu nikogo prócz mnie.

— Zamknij-że drzwi na zasuwkę, a ja tam przyjdę.

Domyślając się, że dzieciak miał jakiś ważny powód, aby powrócić do Cromwell-House, zasunęła spiesznie rygiel i zbliżyła się do okna, z którego już Rudy Ralf drążki wyjmować zaczął; ktoś mu pomagał, albowiem robota szybko postępowała, a stare futryny dębowe u okna, w które krata była wprawiona, zgniły i nadpruchniały. Zuzanna wychyliła głowę przez okno i zaledwie wstrzymać się mogła od krzyku radosnego, poznawszy w towarzyszu młodego pastuszka Joego.

— O drogi Joe! — zawołała ze łzami, — już nie spodziewałam się ujrzeć ciebie! Nie masz wyobrażenia, ileśmy wycierpiały prześladowań od naszych nieprzyjaciół!

Joe osuszył jej łzy zapewniając, że się zbliża kres ich cierpień. Ralf widząc go całującego zbladłe lica Zuzanny, uradowany ich szczęściem, zawołał:

— Ach! właśnie stary chciał to zrobić, ale ona dzielnie go odepchnęła.

— Stary co to znaczy? — zapytał Joe wpatrując się przenikliwie w Zuzię, — o kim on mówi?

Zuzanna z drżeniem szepnęła mu do ucha imię królikarza.

— Przekleństwo na niego! — krzyknął Joe, — nie lubiłem nigdy tego łotra; teraz go nienawidzę, odkąd śmiał ciebie znieważyć. Jeżeli go kiedy dostanę w ręce moje, oszczędzę roboty oprawcy, bo go zaduszę na miejscu! Gdzie jest ten hultaj?

— Cyt! — szepnęła dziewczyna, kładąc palec na ustach, — on nie sam jest!

— Mniejsza o to!

— Miran-Hafaz i pułkownik Mowbray znajdują się tutaj; cała służba jest im posłuszną. Tylko dzięki swej chorobie miss Ellena uszła dotąd gwałtowności indyjskiego bogacza; oni by cię zamordowali!

— Och, ten nikczemnik! — mruknął Joe. Czemuż master Harry nie jest tutaj! Ale jakoś to będzie! Pan Elworthy pisał już do doktora

Orine, a kiedyśmy znaleźli legowisko, potrafimy zeń zwierzynę wydobyć!

W tejże chwili usłyszano wyraźnie głos Mirana, który w wielkiej sali wołał pułkownika i zażądał światła. Nie było tedy czasu do ucieczki. Pastuszek nie tracąc przytomności, odkąd się dowiedział, że ayah była istotą śmiertelną jak on, zamknął natychmiast okno i okiennice, by nie zobaczono wyjęcia kraty, i wskazując stos polan w jednym rogu kuchni naskładanych, dał przykład idąc naprzód, by ukryć się za niemi.

Joe poszedł w jego ślady nie pierwej, póki nie ukradł drugiego całusa swojej kochance.

— Teraz bądź odważna, — szepnął jej, — gdyby ci jakie nieszczęście groziło, pamiętaj, że jestem niedaleko i mogę cię bronić!

Zapukano do drzwi; młoda dziewczyna poszła otworzyć, usiłując pokryć wruszenie. Doktor Guyot wszedł i zamknął drzwi starannie na zasuwkę.

— Tu jest ktoś ukryty! — rzekł ze zwykłą sobie oziębłością.

— Co za myśl!... któżby taki?

— Nie zaprzeczaj! wiem co mówię; królikarz usłyszał głosy z kuchni dochodzące; oznajmił o tem swojemu panu, który tu idzie z pułkownikiem i domownikami, aby wszędzie zarządzić poszukiwania. Odwagi, a ocalę was!

— Pan! — jęknęła Zuzia przerażona. Drżała bardziej o swojego narzeczonego, niż o siebie samą.

— Tak jest, ja. Jakkolwiek ci się to dziwnem wydaje, jestem wam przychylny. Idź za moją radą, a rozproszymy ich podejrzenia.

Niezadługo głośny łoskot dał się słyszeć przy drzwiach; Miran i pułkownik żądali wejść do kuchni.

— Drżysz moje dziecko, — rzekł doktor do Zuzi, — poczekaj, ja otworzę.

Poszedł odsunąć i otworzył drzwi; potem, nie zważając na przybyłych, zbliżył się powoli do stołu, na którym Zuzia cedziła do filiżanki odwar z ziół i innej mięszaniny.

— To doktor Guyot! — zawołał Indyanin zadziwiony.

— Tak jest! a kogoż pan tu miałeś znaleźć? — odparł stary. — Następnie obracając się do biednej dziewczyny, której ręce trzęsły się z przestrachu, zaczął jej czynić uwagi: — Jeżeli garnuszek za gorący, czemuż nie weźmiesz go przez fartuszek albo przez ściereczkę, abyś sobie palców nie poparzyła... Śliczne laboratoryum dla chemika; nawet alembika nie znajdzie tutaj!

— Sideler powiedział nam... — przemówił wchodzący pułkownik.

— Pułkowniku, nie przeszkadzaj mi teraz! — odezwał się lekarz opryskliwie, — ta mikstura jest bardzo skomplikowana w przyprawianiu i wymaga niezmiernej uwagi. Za kilka minut ukończę a wtedy gotów będę na twoje i na przyjaciela pańskiego usługi.

To wszystko wyrzeczone było tak chłodno i spokojnie, że podejrzliwy Miran uspokoił się natychmiast. Ani mu przez myśl przeszło, aby ten człowiek, którego bożyszczem było złoto, i którego on hojnie obdarzył, mógł spisek knować przeciw niemu z biedną dziewczyną!

— Sideler mówił nam, że słyszał głosy jakieś w kuchni, — rzekł do lekarza, który widząc, iż Zuzanna ochłonęła z przerażenia, polecił jej dopilnować filtrowania odwaru.

— To nic dziwnego, — odmruknął stary. — Czy ten dureń myśli, że na migi rozmawiać mamy?

Zwiedzeni zimną krwią doktora, Miran i towarzysz jego wyszli z kuchni. Skoro umilkł ostatni odgłos ich kroków na korytarzu, prosił Zuzię, aby jeszcze raz drzwi zaryglowała.

— Teraz możesz wypuścić twoich ukrytych przyjaciół za drwami.

Joe Beans i Ralf nie czekali powtórnego wezwania, tak im pilno było wyjść z niewygodnego schronienia.

— Oddalcie się, — przemówił lekarz, — oddalcie się co prędzej, nim was kto zobaczy, i oczekujcie mnie na zakręcie drożyny. Niebawem wyjdę do was; mój cel równie jak wasz, dąży do oswobodzenia miss de Vere.

Dawszy im dopiero dowód swych dobrych chęci, nie zostawił im pobudki do powątpienia o swojej szczerości. Joe i Ralf wyszli tedy z Cromwell-House, ale z postanowieniem powrócić znowu w razie, gdyby ten osobliwszy starzec nie dotrzymał swojego przyrzeczenia.

X.

W miarę, jak się zbliżała godzina oswobodzenia, Ellena coraz więcej kołysaną była między obawą a nadzieją. Sto razy w tym dniu

zadawała sobie pytanie, czy ma zaufać lekarzowi, czy okazywane jego współczucie nie miało na celu odjęcia jej ostatniej przyjaciółki, odsunięcia od niej Zuzanny, i wywiezienia ją w jakąś ustroń jeszcze bardziej odludną, gdzieby niegodny jej opiekun i natrętny kochanek mogli łatwiej dokonać swych niecnych zamachów na jej szczęście i spokój.

— Zaufaj mu pani, — mówiła Zuzanna, — musiałby być bardzo nikczemnym, aby odgrywał rolę, jaką mu przypisujesz. Starość obieliła jego włos, krokiem chwiejącym już się zbliża do grobu, przecież lękałby się obrazić Pana Boga, który go wkrótce przed sąd swój wezwie!

(Dalszy ciąg nastąpi.)

GAWĘDZIARZ.

OSTATNI FIGIEL PANA JACENTEGO BYŁ NAJLEPSZY.

(Dokończenie.)

Mimo to wciąż nowi adoratorzy posagu panny Anieli się zjawiali. Późno pod wieczór zajechał Eulogiusz Tchórznicki, nieźle majątkowo postawiony, ale co już nazwisko okazuje, tchórz wielki. Zajechał umyślnie wieczorem, aby został zaproszony na noc, a potem sądził, że reszta się załatwi. Pan Jacenty wita go serdecznie, ofiaruje oczywiście nocleg, prosi na wieczerzę, przepraszając, że dziś Anielka słaba, ale jutro przy obiedzie się zjawi. Pan Eulogiusz uradował się, że jutro zobaczy pannę. Po dobrej kolacyi zaprowadził gospodarz gościa do oficyny, gdzie mu wskazał pokój niebardzo przyjemny, bo trochę odrapany, a co główna zimny. Stróż właśnie kończył zamiatanie.

— Zimno tu trochę, — rzecze gospodarz,— ale się wnet zapali, będzie więc ciepło. Mam wprawdzie małą obawę, ale myślę, że obawa moja płonna.

— Cóż takiego? — zawołał niespokojny Tchórznicki.

— Nic nadzwyczajnego, — odrzecze spokojnie Sędzia. Oto przed dwoma laty schowałem w komin dziesięć funtów prochu, a teraz nie wiem, czy przypadkiem nie w ten komin włożyłem, bo już dwa lata się tu nie paliło. Myślę jednak, że nie tu, pewnie to w drugim kominie ów proch spoczywa. Napalić trzeba, bo zimno, zresztą może ów proch się rozsypał, a może go kucharz wypotrzebował, bo ten szelma wszystek proch mi wystrzela. Zatem myślę, że się tu nic złego nie stanie, a choćby i nastąpił wybuch, pewnie nic panu nie zaszkodzi. Żegnam szanownego pana, do miłego widzenia jutro, ach! jak Anielka się ucieszy, skoro pana zobaczy.

Gościnny gospodarz odszedł, ale gość strasznie się zafrasował. Nie upłynęło pół godziny, aż tu słyszy pan Jacenty turkot powozu — to pan Tchórznicki odjeżdżał bez pożegnania nawet.

Dotąd udawały się figle, ale dobrze mówi przysłowie, że „tak długo dzban wodę nosi, aż się urwie ucho. — Przyjdzie kryska na Maty-

ska. — Nosił wilk, ponieśli i wilka.” Sprawdziło się to i na panu Jacentym.

O wydaniu za mąż siostrzenicy ani myślał. Obawiał się, żeby kto niegodny ją poślubił, ale zarazem przyzwyczaił się do swej kochanej Anielki, ona umiała go rozweselić, zabawić, nie chciał się zatem z nią rozstawać. Tymczasem pannie Anieli zaczęło się nudzić, serce dopominało się o swe prawa, zwłaszcza że 20 latek już skończyła. Pan Jacenty zawsze ją jednak uważał za dziecko.

Zjawił się w tej okolicy Jan Chrobrzyński, liczący około lat 30, przystojny brunet, wykształcony, bardzo miły w obejściu. Zadzierżawił w sąsiedztwie folwarczek, a dopiero po pół roku odwiedził pana Płużyńskiego i to jeszcze mając jakąś sprawę do załatwienia. Bawił bardzo krótko. Po kilku tygodniach zjawił się znowu. Poprosiwszy pana Jacentego do osobnego pokoju, miał z nim długą naradę. Pod koniec rozmowy sędzia podał gościowi rękę i rzekł:

— Verbum nobile, panie Janie, że wszelkiej udzielę pomocy. A to plan wyborny, dzielnie, doskonale!

Odtąd był pan Chrobrzyński częstym gościem u pana Jacentego, a wszyscy się dziwili, że pozwalał mu nawet przebywać w towarzystwie Anielki. Łamano sobie głowę nad tem, co za przyczyna tych względów, ale nikt nie odgadł tajemnicy.

Rzecz tak się tymczasem miała. Chrobrzyński zwierzył się panu Sędziemu, że pokochał szczerze średnią córkę Wilhelma Klappermajera i że jest nawzajem kochany, a nawet matka mu sprzyja, ale ojciec nie chce żadną miarą zezwolić na małżeństwo. Otóż pan Jan postanowił wykraść pannę Klarę (tak było imię Klappermajerównie) i zaślubić i oto w tym celu prosił o radę i pomoc.

— W to mi graj — pomyślał pan Jacenty. Nadarzyła mu się sposobność wyplatania wielkiego figla Szwabie, jak zwykle zwał swego sąsiada. Dla tego pan Karol miał wstęp wolny do domu, a nawet mógł bawić w towarzystwie pięknej Anieli.

Dzień ślubu został nakoniec oznaczony. Pan Płużyński ofiarował swój śliczny powóz, który umyślnie kupił dla Anielki i sam przybył na bryczce, aby podczas ślubu być przytomnym. Wszystko się dobrze udało, panna Klara szczęśliwie opuściła dom rodzicielski. Właśnie przyjechał ksiądz, aby ślubu udzielić. Zajechał powóz w cztery konie, a wnet wysiadła jakaś smukła postać niewieścia, druga zaś pozostała w powozie. Karol szepnął do pana Jacentego:

— Moja narzeczona prosi usilnie pana o błogosławieństwo, gdyż pan jej zastępujesz ojca.

Niebardzo się to widziało Sędziemu, gdyż ów niby figiel zaczynał mu być za poważnym, ale cóż miał robić? Panna młoda się zbliżyła, uklękła, a pan Jacenty przeżegnał ją, mówiąc:

— Błogosławię ci, moje dziecko — Bóg z tobą.

Narzeczona ścisnęła błogosławiącego silnie za kolana, przycisnęła po kilka razy z jakiemś niezwykłem uczuciem rękę jego do ust i niemal kurczowo ją ściskała. Dziwne uczucia wstąpiły w serce Sędziego.

— Czy ja dobrze czynię,—mówił do siebie, — że się wdaję w nieswoje rzeczy. A cobym powiedział, gdyby to była Anielka? Nie czyń tego drugiemu, co tobie nie miło. Tfu! do kata źle zrobiłem, oby się ta sprawa dobrze skończyła. Już więcej nie będę się mięszał w babskie sprawy, bo te figle nie na swojem miejscu.

Nie było czasu na rozmyślania, gdyż w kościele już światło zapalone i wszystko do ślubu gotowe. Ksiądz połączył stułą ręce narzeczonych, odmówił słowa przysięgi, pobłogosławił, a w końcu wezwał przytomnych na świadków, że małżeństwo w myśl przepisów Kościoła św. zawarte. Pan Jacenty uczuł silne skrupuły sumienia, gdyby był mógł, byłby cofnął całą tę sprawę, niestety! już klamka zapadła.

W kwaśnym humorze wraca pan Sędzia do domu. Coś mu dolegało na sercu, niby młyński kamień. Wszedłszy do swego pokoju, woła na kulawego Walka i każe przynosić kawę, gdyż już dzień biały zawitał. Walek z podziwieniem wytrzeszczył oczy, mówiąc:

— Wielmożny pan pyta się o kawę, przecież kawy nie ma, bo kto ją miał gotować?

Sędzia: Ty gamoniu jakiś, hultaju, kiedy proszę o kawę, to ją przynieś.

Walek: Ej — wolne żarty, przecież wielmożny pan pewnikiem zna całą historyę, i nie wiem co przyszło jegomości żądać kawy, kiedy jej nie ma.

Sędzia pełen wściekłości, rzuca się na Walka; ten, choć kulawy, zręcznie się wywinął i przepadł. Pan Jacenty woła na starą panią Dziubalską, która mu prowadziła gospodarstwo

— żadnej odpowiedzi. Spieszy do pokoju Anielki — zamknięty. — Zwaryowali, czy co? — pomyślał.

Wreszcie zaczął szukać Walka, gdyż poznał, że on go tylko objaśni należycie, co to wszystko ma znaczyć. Walek sam się zbliżył, miarkując, że już pan ochłonął z gniewu.

Sędzia. Gadaj zaraz, gamonie, co się tu stało?

Walek. Proszę jegomości, wiele się tu stało, doprawdy, że nie wiem jak zacząć.

Sędzia: Prędzej, bo oberwiesz porządnie.

Walek: Ady zaraz, jeno najgorzej zacząć. Otóż tak. Jak wielmożny pan odjechał, zaraz niedługo przyjechał pan Karol...

Sędzia: Co? pan Karol?

Walek: A toć ten młody pan z Bogulina, co to często do nas zajeżdżał. Tak on zaraz poszedł do panny Anieli, która już była ubrana, klęknął i prosił z płaczem: Panno Anielo! już czas największy. Panienka stała cicho, mówiąc: Panie Karolu, nie mogę, gdyż obawiam się stryja. Pan Karol zawołał wtedy, zapóźno, chyba że sobie życie odbiorę. Schwycił ją potem w ramiona i zaniósł szybko do powozu, pani zaś Dziubalska sama poszła, ale co prawda też płakała.

Sędzia: A więc to była pani Dziubalska?

Walek: A jużci, że to jej wielmożny pan nie poznał. No i ostatecznie pojechali, a jeszcze nie przyjechali, jegomość zaś woła o kawę, trudna sprawa — kawy nie ma.

Sędzia stanął jak wryty.

— A więc jestem moją własną bronią pobity, i tak niespodziewanie. Oj będzież to tryumf dla sąsiadów! Co tu począć? — Tak myślał, pokręcając wąsa.

W godzinę zajechał jego powóz, z niego wysiadł ksiądz proboszcz, pani Dziubalska i młodzi państwo, którzy padli na kolana, wołając:

— Stryju, przebacz i przyjmij nas za swoje dzieci!

Ksiądz proboszcz przystąpił i rzekł:

— Panie Sędzio, sam byłeś świadkiem ślubu, zatem zechciej udzielić młodej parze błogosławieństwa.

Łza zabłysła w oku Sędziego, krótko się tylko wachał, potem przeżegnał klęczących i wyrzekł:

— Dzieci moje, błogosławię wam w imię Ojca i Syna i Ducha św. Amen.

Młodzi państwo uściskali mu kolana, ucałowali ręce, a za chwilę wszystko weszło na dobre tory, tylko na panią Dziubalską patrzył Sędzia z ukosa.

Odtąd pan Jacenty już żadnego nie popełnił figla. Pełen powagi mawiał:

— Odkąd mnie ten młodzik takiego sprawił figla, już mi nie podobno wracać do dawnych przyzwyczajeń. Zresztą czas myśleć o śmierci, której nie można zbyć figlami. Dobrze się zresztą stało, gdyż Anielce był czas za mąż, ale ja na to nie zważałem.

Taki był ostatni figiel pana Jacentego, a przyznasz zapewne, szanowny czytelniku i miła czytelniczko, że istotnie był najlepszy. Życząc i tobie w danym razie coś podobnego, zamykam tę gawędkę.

OWCE.

Młody pasterz hodował w górach liczne stado owiec. Pewnego dnia wypędziwszy je na pastwisko, usiadł pod cieniem jodły na odłamie skały i zaczął drzemać, a skoro sen skleił mu powieki, głowa jego pomimo woli to opadła na piersi, to znów kołysała się na lewo i na prawo. Ogromny czarny baran żerujący niedaleko, myślał że jego pan chce się z nim spróbować i że kiwaniem głowy drażni go, aby zmusić do walki. Natychmiast więc przybrał obronną postawę, cofnął się o kilka kroków dla lepszego rozpędu, potem poskoczył naprzód i swojemi zakrzywionemi rogami uderzył z całej siły śpiącego. Pasterz zbudzony w tak bolesny sposób z przyjemnego snu, okropnie się rozgniewał; porwał się z miejsca, chwycił barana za rogi i odrzucił daleko od siebie. Przestraszone zwierzę chcąc uciec, potknęło się i wpadło w przepaść, a owce których było więcej niż sto, natychmiast poskoczyły za baranem i jedna po drugiej wpadając w tę otchłań, porozbijały się o skały. Pasterz widząc to wyrywał sobie włosy z rozpaczy i za późno powtarzał z płaczem przestrogę starego proboszcza:

Strzeż się gniewu, jego władza
Źle kieruje, źle doradza;
Kto usłucha go w zapędzie,
Najpierw sobie szkodzić będzie.

DZIECI WDOWY.

POWIEŚĆ MORALNA.

— DLA —

DOJRZAŁEJ MŁODZIEŻY.

(Ciąg dalszy.)

— Cóż ty myślisz czynić, nierozsądny? przerwała mu matka, schowaj ten kij, na cóż ci się opór przyda? Niech się dzieje wola Boża, zabij mnie raczej, jeśli więcej głosu mego słuchać nie chcesz, wolę umrzeć jak widzieć syna mego jako mordercę, kończącego na rusztowaniu.

To słysząc upadł Edward matce do nóg. Marya podłożyła pod słabą głowę chorej poduszkę, którą z łóżka wyjęła.

Stąpanie coraz bardziej słyszeć się dawało, a niezadługo wszedł młynarz z pisarzem i stróżem urzędowym. Ostatni przedstawiał nędzny obraz człowieka, który się przed czasem zestarzał. Głowa jego rzadkiemi tylko pokrytą była włosami, a na jego twarzy głębokie było widać zmarszczki, a szare iskrzące jego oczy zdradzały chytrość i złośliwość. Stał on w swym ubiorze urzędowym, jako szkielet suknią pokryty — był to jeden z najpoufalszych przyjaciół młynarza.

— Czego pan żądasz? zapytała się pisarza takim widokiem mocno obrażona wdowa, widząc jego wzruszenie.

— Pani Sternburg, mówił zapytany grzecznie przepraszając, bardzo mi jest nieprzyjemnie, że w taki sposób poznać się z panią muszę, lecz znasz moję niewinność — muszę słuchać — lubo niechętnie. Pani winnaś młynarzowi sto talarów — dzisiaj nadszedł dzień wypłaty. Czy pani możesz oddać rzeczoną sumę? zapytał się łagodnie, a łzy stanęły mu w oczach.

— Nie mogę łaskawy panie, odpowiedziała chora, lecz proszę o dwa tygodnie cierpliwości. Udam się tymczasem z prośbą do mej przyjaciółki w Lozannie, w której wielką pokładam nadzieję, dawniej bowiem, gdyn jej pomocy nie potrzebowała, często przekonywałam się o jej dobroci.

Pisarz spojrzał na młynarza, jakby go chciał uprosić, bo chociaż przez długi szereg lat sprawował swój urząd, nie oddał się jeszcze powszechnemu zepsuciu i z największą tylko niechęcią wypełniał podobne powinności.

— Nic! nic! zawołał młynarz, śmiejąc się na głos, tak dwa tygodnie! ta chołota chce jeszcze człeka za nos wodzić. Żądam moich pieniędzy, a jeśli takowych natychmiast nie odbiorę, tedy każę was fantować; płacz i narzekania starej kobiety nie odwiodą mnie od powziętego zamiaru. A więc żwawo panie pisarzu! czyń pan swoją powinność!

Edward zgrzytnął zębami, i był gotów uderzyć młynarza, lecz matka wstrzymała go, ścisnąwszy mu rękę.

— Miejcie litość, panie młynarzu, prosił pisarz, wszak widzicie cierpienia tej chorej pani, widzicie przestrach wybladłej jej córki — czekajcież jeszcze te kilka dni. Wspomnijcie na Boga, bo takie sceny ciężą długo na sumieniu.

— Nie praw mi pan morałów! chociażbym nieustannie myślał o Bogu, rzekł śmiejąc się

złośliwie, to jednak nigdy mych pieniędzy nie dostanę.

Słysząc to wdowa spojrzała na niego z taką pogardą, że spuścił sprosne swe oczy ku ziemi, ale chcąc się za to niejako zemścić, zakrzyknął największą uniesiony złością:

— Płaćcie! — albo was każę fantować!

— Nie mogę wam teraz zapłacić, odpowiedziała wdowa łagodnie, miejcie jeszcze cierpliwość, aż do czasu, o który was prosiłam, a jeśli wtenczas nie będę mogła zapłacić, tedy możecie mnie w Imię Bozkie fantować.

— A to ślicznie, zawołał młynarz, mam jeszcze czekać dwa tygodnie, póki się najlepszych sprzętów nie pozbędziecie; ha, ha, wy mię nie oszukacie! wezmę co mi się podoba, a za dwa tygodnie zastałbym gołe ściany. A gdzie nic nie ma, tam wziąść nic nie można, nadto stałbym się jeszcze przedmiotem waszego szyderstwa!

— Czyń pan swoją powinność, rzekła wdowa osłabiona i mocno zmartwiona do pisarza, który z widocznem wzruszeniem stał przy oknie, już tego człowieka nie chcę dłużej prosić na próżno.

Pisarz niechcący oglądał się po ubogiej izdebce, a odwróciwszy się nareszcie, rozkazał stróżowi, aby czynił swoją powinnność.

Marya drżała jak liść osowy, matka złożyła ręce, a Edward konwulsyjnie ścisnął pięście. Oprawca przystąpił z szyderskim uśmiechem do łóżka chorej, a zrzuciwszy pościel na ziemię, związał ją w prześcieradło, aby ją tem łatwiej wynieść. Lecz gdy z bezczelną surowością jeszcze poduszkę z pod głowy biednej matki wyciągnął tak, że głowa jej na twardą upadła poręcz, — wtenczas już Edward nie zdołał się wstrzymać. Największym zapalony gniewem uderzył w pierś nikczemnika, iż ten, w znak upadając, drzwi wyparł plecami. Coprędzej porwał kij z ziemi, a obróciwszy się do młynarza zakrzyknął z największym zapałem, że aż okna drżały.

— Tu ztąd nic nie weźmiecie, póki żyw jestem. Jesteś niegodziwym lichwiarzem, podłym szelmą! Wczoraj zraniliście siostrę moję na cmentarzu, bo nie chciała słuchać na niesforne wasze mowy, a dzisiaj, jak Bóg w niebie, groził mu unosząc kij nad jego głową, dzisiaj strzaskam ci czaszkę, jeżeli się odważysz ruszyć łóżko chorej mej matki. Albo będziesz czekał dwa tygodnie, o które już matka prosiła, albo pójdę do miasta i zaskarżę cię do sądu, żeś ciężko poranił mi siostrę.

Młynarz wiedząc, że u sądu nie w najlepszej stał opinii, zapytał się głosem niepewnym:

— Kiedyż więc chcecie zapłacić?

— Za dwa tygodnie, odpowiedział Edward.

— Dobrze, lecz jeśli i te miną, rzekł młynarz, uśmiechając się z przymusem, a ja jeszcze pieniędzy nie dostanę, wtenczas się wrócę mój szanowny panie, ale już nie poradzą ani prośby ani groźby. Bywajcież państwo zdrowi, rzekł z cierpkim uśmiechem i oddalił się ze stróżem.

— Przebacz, kochana matko, rzekł Edward, pocałowawszy chorą w czoło, żem tą razą przekroczył twój rozkaz, lecz serce mi pękało, gdy oprawca poduszkę z pod twej głowy wyciągnął, która tak mocno na krawędź upadła. Droga matko i siostro! Bóg jest miłosierny; myślmyż teraz nad tem, jakby zaspokoić tego natrętnika.

Matka i córka uściskały Edwarda, poznać bowiem musiały, że on je tylko wybawił.

Ze szczerem przywiązaniem patrzał pisarz na tę scenę miłości macierzyńskiej, przy której wylaniu się, prawie od zmysłów odchodził. Nareszcie przerwał wzajemne pieszczoty temi słowy:

— Państwo przekonać się możecie, że po tak wzruszającej scenie, której świadkiem byłem, na nowo czuję przykrość mego urzędu, i że nic więcej nie pragnę, jak tylko aby państwu dopomódz. To rzekłszy, przystąpił do Edwarda, podał mu dłoń swoją przyjacielską i rzekł:

— Niech ci Pan Bóg dopomoże, zacny mężu, abyś się jak najprędzej wystarał o potrzebną sumę, młynarz bowiem jest surowym człowiekiem. Pożegnawszy się potem jak najuprzejmiej, odszedł do domu.

— Nim o dalszej pomyślimy pomocy, rzekła matka, podziękujmyż Panu Bogu, że nas raczył zachować od grożącego nam pohańbienia, a wspierając się na dzieciach uklękła, i gorące swe dzięki ku niebu zasyłała, podczas gdy rzęsiste łzy po wyschłych spływały jej licach.

ROZDZIAŁ IV.

Zbrodnia.

Słońce stało wysoko. Dzwony miasta Lucern zwiastowały południe, gdy rudy młynarz

spiesznie zdążał przez skały i krzewy ku wierzchołkowi góry Piłata. Nikogo w drodze nie spotkał. Utrzymywano bowiem podówczas, że na górze Piłata duch jakiś pokutuje. Nazwisko tej góry, jak się zdaje, niewinną było tego przyczyną. (Góra Piłata jest to tłómaczenie z łacińskiego *mons pileatus* — góra z kapeluszem.) Tak zwano inne jeszcze góry, których wierzchołki przed zbliżającym się deszczem lub grzmotem ciemnemi otoczone bywają chmurami. Wyraz „pileatus" zmieniono z czasem na „pilatus" — a ztąd na Piłata, starostę rzymskiego, który jak opowiadano, utopiony w najmniejszem tej okolicy jeziorze, podróżujących dotąd niepokoi. Nie potrzebuje góra podobnych cudów, gdyż i bez nich jest bardzo zajmującą. Jest ona gęsto porosła drzewem sosnowem, a w samym wierzchołku rozpadła. Sosny jednak nie sięgają wierzchołka, a u góry stają się coraz mniejszemi.

U podnóża Tomilisa, jedynego z skalistych wierzchołków tej góry, znajduje się pieczara, która bardzo ciągnie się daleko; mówią nawet, że prowadzi przez całą górę i łączy się z podobną pieczarą, na przeciwnej znajdującą się stronie, którą zowią jaskinią St. Dominika. Wielką tę pieczarę znano w kraju pod nazwiskiem „pieczary księżycowej", tam szukano dawniej mleka księżycowego (glinki tłustej) na rany bardzo skutecznego. W tej jaskini tak ma być zimno, że wchodzącym trudno oddychać; tu właśnie najbardziej miało pokutować.

Korzystając z zabobonów ludu, zmierzał rudy młynarz ku tejże jaskini. Co tam porabiał, było dla wszystkich nierozwiązaną dotąd zagadką. Strumyk wypływający z Piłata mocno wezbrał przez śnieg stopniały i spadał w bezdenne przepaści, straszliwe szerząc łoskoty. Tymczasem młynarz doszedł do samego wierzchołka i usiadł strudzony na ułomku skały sterczącej naprzeciw jaskini. Ostrożnie oglądał się na wszystkie strony, lecz nic nie widząc, odpiął ze siebie trzos napełniony, naliczył iskrzącemi oczyma czyste talary, a zawiązawszy z widocznem ukontentowaniem mieszek skórzany, zniknął nagle w głębi pieczary. W tem podniosła się za skałą jakaś postać męzka, która spostrzegłszy młynarza, bojaźliwie się znowu ukryła. Wyżółkła jego cera świadczyła o rozpustnie przepędzonych latach, a iskrzące jego oczy śledziły w około, jak oczy czychającego ostrowidza. Wolno i lekko stąpając, przybliżył się do otworu jaskini, przyłożył ucho ciekawie do ściany i schował prawą rękę pod surdut. Lecz nic nie słyszał więcej, jak jednostajne pukanie młotkiem w skałę. Nareszcie i to ustało. Posłyszał stąpanie, przyczaił się do skały, a młynarz wyszedł, uśmiechając się z ukontentowaniem:

— Tak! dobrze was teraz zachowałem, — rzekł do siebie ścierając ręce. Was tu strzegą zabobony głupiego ludu. W samej rzeczy dreszcz mnie przechodził w tej podziemnej jamie, dziwna rzecz, że bojaźń tak zaślepia! Mnie się zdawało, jakobym zewnątrz słyszał stąpanie, a jednak w około nic nie widzę. W tej jaskini nikt szukać nie będzie talarów rudego młynarza, a od czasu jak Sternburg nie ugania się za zwierzem, jestem pewny, że nikt nie odkryje moich ciężko zapracowanych pieniążków.

Nieznajomy słysząc nazwisko Sternburga, przyczaił się bardziej do ziemi i uważał ze swojej kryjówki na każde poruszenie młynarza.

— Cóż to? zawołał przestraszony młynarz, usłyszawszy za sobą szelest. Obejrzał się prędko, i spostrzegł na ziemi skurczoną postać nieznajomego, który z wolna powstawszy do niego się zbliżał.

— A ty co tu robisz cudzoziemcze na tem miejscu zaczarowanem? — zapytał się młynarz ochłonąwszy nieco ze strachu, — nie jesteś zapewne krajowcem, mówił dalej, oprócz mnie bowiem, żaden Szwajcar miejsca tego zwiedzać się nie odważy.

— Czegoż się ten ma obawiać, którego ludzie prześladują? odparł z uśmiechem nieznajomy. Ja się nie boję ani duchów ani djabłów, tylko mych prześladowców, chcąc się przed nimi uchronić, bawię już od kilku dni w górach; tutaj zasłaniają mnie zabobony i głupota waszego pospólstwa.

— Takim sposobem ze zwierzchnością nie w najlepszych zostajesz stosunkach, rzekł młynarz z radością.

— Jak się zdaje to i ty tu coś porabiasz, odpowiedział nieznajomy z szyderskim uśmiechem, co gdyby pewni ludzie wiedzieli, przykre stoczyliby z tobą rozterki.

Młynarz zbladł, lecz wnet odzyskawszy swą bezczelność, spojrzał nieznajomemu prosto w oczy. Powoli wypogodziło się jego czoło, gdy ujrzał w oczach nieznajomego ową harmonię, która podłe dusze ze sobą łączy.

Nieznajomy, który i w młynarzu coś podobnego spostrzegł, podał mu swoją dłoń, mówiąc z uśmiechem:

— Widziałem jak unosiłeś przed chwilą pieniądze do pieczary, już byłem gotów kulką cię powitać, lecz gdyś wspomniał o nazwisku Sternburga....

— Jak to? czy znasz to brzydkie plemię? przerwał mu młynarz.

— Czy je znam? zapytał drugi śmiejąc się głośno. Już od dwudziestu pięciu lat prześladuje moja zemsta to nazwisko, a teraz jeszcze żółć mi pęka, kiedy je usłyszę. Posłuchaj tedy, rzekł przybliżając się do młynarza, byłem niegdyś majętnym człowiekiem, i jedna tylko myśl ożywiała duszę młodzieńczą. Kochałem jednę panienkę, lecz gdym jej się oświadczył, pogardziła mną, i wolała sobie obrać biednego Sternburga, który nic nie miał, prócz śmiesznej i nic nie znaczącej sławy i uczciwości. Od tego czasu oddycham tylko najwyższą zemstą. Powiedzcież mi, gdzie mieszka ta familia, gdzie syn, o którymeście dopiero wspominali?

— Mieszka ona niedaleko jeziora Vierwaldstaedt i cieszy się z wyniosłego syna i bardzo uczciwej córki. Żywili się dotychczas z pożyczki, lecz teraz już nikt na gołe imię nie pożycza. Mnie winni sto talarów, a że zapłacić nie mogą, będę ich fantował.

Oczy obydwóch łotrów zajaśniały złością i radością, a im dłużej ze sobą mówili, tem bardziej jeden drugiemu się podobał.

— Siadaj, rzekł młynarz coraz poufalej, i opowiedz mi kto cię ściga i co cię tu przyprowadziło.

— Brak pieniędzy coraz bardziej mi się uczuć dawał, zaczął nieznajomy opowiadanie, siadając przy młynarzu, a ze szczątkami niegdyś znacznego majątku udałem się do Włoch. Tam zapomniałem wkrótce o niemieckich obyczajach, wesołe życie Włochów bardziej mi się spodobało, aniżeli jednostajne Niemców zatrudnienia. Codziennie uczęszczałem do szulerni, tam grano w karty aż do białego dnia, a przez moją zręczność prawie zawsze wygrywałem.

Młynarz się rozśmiał, zręcznie pokazując ręką, jak się karty przewracają. Opowiadający poklepał go po ramieniu i nazywał go odtąd przyjacielem.

— Jakiś podły człowiek, mówił dalej, odkrył moją sztukę i — wystaw sobie mój wstyd — oskarżono mnie o oszukaństwo i przytrzymano w nocy we własnem mem mieszkaniu. Chcąc się bronić, wydobyłem z pod poduszki pistolet, i wypaliłem do jednego z żołnierzy. Korzystając z powszechnego zamięszania, wyskoczyłem oknem na ulicę lekko tylko ubrany i prawie bez grosza pieniędzy. Uszedłem szczęśliwie. Niezadługo potem czytałem jednego wieczora list gończy z moim rysopisem: pięćdziesiąt talarów ofiarowano temu, któryby mnie dostawił żywego lub zabitego. Największym zdjęty przestrachem, uszedłem coprędzej z owego miejsca i odtąd wolny jak ptak tułałem się po świecie. W mieście Lucern wzięto mnie na oko, obawiając się więc, aby mnie nie pojmano, ukryłem się w tych tu oto skalistych kryjówkach.

Młynarz patrzał w ziemię jakby rozmyśliwał nad ważną jaką rzeczą. Po długiem nareszcie milczeniu wziął tułacza za rękę, a raz jeszcze badawczo na niego spojrzawszy, rzekł z dziwacznemi giestami głosem uroczystym:

— Kolego! nie jestem obojętnym dla biednych nieszczęśliwych, którzy ścigani przez podłą chołotę, w ubóstwie i nędzy zostają. Chodź ze mną na młyn, taki człowiek już dawno mi był potrzebnym, a skoro tylko przez czas niejaki będziesz u mnie, zaręczam, że w tej okolicy bardzo ci się podobać będzie. Przebiorę cię za mego młynarczyka, a wtenczas nie sięgną cię i najdłuższe ramiona sprawiedliwości, przyrzec mi jednak musisz, że się we wszystkiem do mej woli zastosujesz.

— Ratuj mnie! zawołał na to nieznajomy dzikim głosem, i żądaj co chcesz! Władaj nad moją głową, ramieniem i duszą! Wszystko ci ofiaruję, tylko mnie uchroń przed stryczkiem.

— To mi się podoba! odrzekł młynarz z uśmiechem, jesteś ocalonym i dzisiaj jeszcze mam dla ciebie małe zatrudnienie.

— Powiedz jakie?

— Chodź do mego młyna, rzekł młynarz po cichu, zawitało do mnie dwóch kupców, którzy już często u mnie nocowali; tą razą mają oni ciężkie trzosy przy sobie; jutro chcą przed wschodem słońca jeszcze w dalszą puścić się drogę, ale ja — dodał z uśmiechem — myślę inaczej. Łupieztwa i morderstwa zdarzają się teraz po wszystkich prawie gościńcach a takim sposobem nie padnie na nas żadne podejrzenie, choć ci pankowie znikną. Sam zaś nie odwa-

żyłbym się ich sprzątnąć, gdyż są zaopatrzeni w broń palną i to jeszcze nabitą, a na nieszczęście zachorował mój jedyny parobek, któremubym mógł zaufać. Gdybyś zatem chciał...

— Tobie dopomódz? przerwał zapytany, gdy dzika radość iskrzyła się z małych złośliwych ócz, jak jeszcze pytać się możesz stary lisie? oto masz moją rękę!

— Chodź, zawołał młynarz ucieszony, podzielimy się zarobkiem. Słuchaj mój przyjacielu, trzeba, abyśmy się bliżej poznali, lecz teraz już słońce zachodzi. Chodź, abyśmy się przed północą do domu dostali.

Na znak dozgonnej przyjaźni ścisnęli sobie ręce, a potwierdzając brudny ten związek, tak silnie dłonią w dłoń uderzyli, że echo o skały się odbiło. Spiesznym krokiem spuszczali się z góry, podczas kiedy dzika radość, chciwość pieniędzy i rozboju wyraźnie jaśniały w oczach bezbożników.

Zeszli z góry; czarne chmury pokryły niebo, a żadna gwiazdka nie przebijała blaskiem swoim posępnej ciemności. Przybyli nareszcie do wioski, a tułacz ślepo postępował za młynarzem. Niespostrzeżeni od nikogo, stanęli przed młynem na końcu wioski; pies tylko podwórzowy szczekając, bronił im wstępu do młyna, kiedy jednak poznał głos swego pana, który mu milczeć przykazał, skrył się skomląc do budy. Obcy nie mógł poskromić chciwości wypełnienia zamierzonego czynu; młynarz zaś roztropniejszy, zalecił mu jak największą spokojność i przywiódł go po cichu do drzwi, które ostrożnie otworzył. Wszedłszy wewnątrz domu, a chociaż jak najciszej stąpali, odgłos ich stąpań odbijał się przecież w grobowej ciszy nocy, gdyż oprócz szumu wody nic słychać nie było, bo wszystkie koła młyńskie bezczynne stały. Z największą ostrożnością weszli po wschodach do izby po prawej stronie leżącej, którą przedzielała ściana z desek od nieszczęśliwych na krwawą przeznaczonych ofiarę.

— Tu jest drogi przyjacielu owo miejsce, szepnął młynarz, z którego nam się obfita uśmiecha zdobycz.

To rzekłszy, przyłożył ciekawie ucho do ściany; po chwili tak się odezwał do towarzysza:

— Śpią jak zabici! Wemknij się nieznacznie przez te drzwiczki ukryte, które się lekko otwierają, i wtłocz żelazo w pierś tego, który leży po lewej stronie, ja zaś zaraz wejdę za tobą i przywitam drugiego.

Spokojnie zbliżył się tułacz, otworzył drzwiczki ukryte i wemknął się przez mały otwór na miejsce przeznaczone. Za nim wszedł młynarz i zbliżył się do drugiego gościa. Kiedy pierwszy zbrodniarz tak już był blizko, że mógł posłyszeć oddech śpiącej ofiary, młynarz wtenczas już dokonywał zbrodniczego swego dzieła. Gwałtowne chrapanie śmiertelnie ugodzonego nagliło i jego do spiesznego wykonania zbrodni; w tej chwili przerżnął i on z niesłychaną oziębłością gardło śpiącego. Po tej scenie nastąpiło znowu ponure milczenie, a zabójcy wydzierali trupom bezbożnemi rękoma nagrodę czynu krwawego. Brzęk srebra przytłumił tu głos sumienia.

— Połóżmy się teraz spać, rzekł młynarz, przerywając straszliwe milczenie; jutro raniuteńko zagrzebiemy krwawych świadków tej chwili w mojej piwnicy. Drżącą ręką rozniecił ogień, a schodzących zimny dreszcz przeszywał.

ROZDZIAŁ V.

Podejrzenie i niewinność.

Już dziesięć dni upłynęło a z Lozanny jeszcze nie było ani listu ani pieniędzy. Mijały dnie opłakane a każdy z nich sprowadzał nowe kłopoty. Pani Sternburg jednak wielką jeszcze pokładała nadzieję w dobroci dawnej przyjaciółki. Lecz gdy nowo wyznaczony dzień zapłaty nadchodził, wtenczas i ona poczęła tracić nadzieję. Stan jej choroby coraz bardziej się pogarszał przez natężenie myśli, i większą część dnia i nocy przepędzała w śnie niespokojnym.

Właśnie było południe kiedy Edward siedział z Maryą przy małym stoliku i zajadał w milczeniu z siostrą zwyczajny i prosty ich obiad.

— Moja siostro, rzekł Edward, jakiż to koniec weźmie? W czterech dniach mamy zapłacić, a dotychczas jeszcze nie ma listu z Lozanny.

Marya westchnęła i wejrzała troskliwie na chorą matkę, bo cóż miała odpowiedzieć?

— Słuchajno Maryo! mówił dalej Edward, wziąwszy siostrę za rękę, jużem się namyślił. Ty sama możesz pielęgnować matkę, albowiem niesłusznie bym czynił, gdybym dłużej próżnował. Cóż powiesz na to, gdybym sam poszedł do pani pułkownikowej i przedstawił jej naszą nędzę w najżywszych kolorach? — Może droga siostro, może wtenczas rozczulona moją prośbą, dałaby nam jakąkolwiek pomoc.

— Byłoby to bardzo dobrze mój bracie, odpowiedziała Marya, lecz zważ na daleką podróż! w czterech dniach trzeba ci wrócić, a oto właśnie dzwonią na południe.

— Mam młode nogi i nie lękam się upiorów, zawołał Edward ożywiony swojem przedsięwzięciem. Pójdę na całą noc, powiedz matce skoro ocknie, żem poszedł do Lozanny, aby zapobiedz temu, czegobym nigdy znieść nie mógł. Przeproś ją, że ją opuszczam bez pożegnania, gdyż ciężkoby jej było, puścić mnie samego, spodziewam się, że wkrótce powrócę i pomoc przyniosę.

Marya milczała, a pomyślawszy nieco, ścisnęła bratu rękę i rzekła głęboko wzruszona:

— Idź z Bogiem, kochany Edwardzie.

Ażeby się matka nie obudziła i nie przeszkodziła jego przedsięwzięciu, zawinął prędko koszulę w chusteczkę, schował kawałek chleba, pożegnał się z siostrą i odchodził.

— Weź z sobą pistolet, przypomniała mu siostra, noc jak się zdaje będzie dzisiaj ciemną, a wiesz że od niejakiego czasu rabusie tę okolicę niepokoją.

— Masz słuszność, odrzekł Edward, zawsześ o mnie troskliwa.

Przybliżył się do biórka, wyjął pistolet, obejrzał zamek, nasypał świeżego prochu na panewkę, a widząc wszystko w dobrym stanie, schował go do kieszeni.

— Uściskaj matkę serdecznie, rzekł po cichu, od łez się wstrzymując, lecz Marya rzewnie zapłakała, albowiem tak ciężko nigdy jej dotąd nie było na sercu.

Dopóki jej z ócz nie zniknął ścigała go oczyma powiewając chustką, i Edward często się oglądał, aż nareszcie skręcił się pod borem. Marya wróciła smutno do izby, usiadła przy matce i spłaszała z niej muchy naprzykrzone.

Słońce już zachodziło, a Edward szedł skwapliwie dalej. Za każdą milą podskoczył z radości, coraz żwawiej postępując. Nareszcie zmęczony musiał się zatrzymać.

— Tu wypocznę, rzekł sam do siebie, tu tak pięknie, tak powabnie.

Usiadł, wyjął chleb z kieszeni i zjadł go z największym apetytem. Słońce zaszło, widać tylko jeszcze czerwoną łunę na niebie. Ponure milczenie rozlało się po całej okolicy, a dzień uchodzący ustąpić musiał nastającej nocy. Blady księżyc ukazał się na niebie, wesołe światło zorzy wieczornej przedzierało się przez zmrok. W dolinach i na górach świerkały skoczki, a zwierz dziki szukał pokrzepiającego zdroju.

— O Boże, zawołał Edward, którego milczenie niw, i wszystko, co go dokoła otaczało, czcią ku Stwórcy przejęło, jak piękne i doskonałe są twoje dzieła; złożył ręce, przesyłając słowa wdzięczności do tego, którego tron po nad gwiazdy wzniesiony, i który łaskawie spogląda na pobożne swe dzieci.

Mgła zasępiała góry i wkrótce noc zupełna nadeszła. Miliony jednak gwiazd błyszczących na firmamencie niebieskim zamieniały ciemność w niestałe światło. Edward zasnął a chrząszcze brzęczały w około niego. Jeden z nich uderzył go w locie w twarz i przebudził śpiącego.

— Dziękuję ci, mały przyjacielu, że mnie przebudzasz, żartował sobie podnosząc się i pospieszył co prędzej w dalszą drogę. Las iglicowy coraz się bardziej zgęszczał, gdyż wysokie jodły tuż nad drogą stojące zaciemniały go zupełnie. Krzyk puszczyka i przeraźliwy głos zwierza przerywał często milczenie nocy. Serce Edwarda coraz więcej się ściskało, w takim był strachu i tak był wzruszonym, a jednak nie mógł pojąć przyczyny tej walki wewnętrznej.

— Jezus, Marya! ratunku! miłosierdzia! i inne wołania wzywające pomocy dały się nagle słyszeć, czem jęk ciężki a po nim znów głęboka cisza nastąpiła. Krzyk ten był niedaleko Edwarda. Bieży przeto czemprędzej w miejsce, z którego pochodzić się zdawał, potrącił o coś nogą, pochyla się i podnosi z ziemi tłomoczek.

Usłyszawszy stąpanie, nagle się obrócił, i spostrzegł przy świetle księżyca rudego młynarza w krzaki uciekającego. W tem się przed nim coś porusza, patrzy, o zgrozo! widzi bladą twarz człowieka, który potłuczony na ziemi leżał. Z kilku ran w piersi mu zadanych, płynęła krew obficie. Edward pochylił się do leżącego i otarłszy kurz i krew z drżących jeszcze ust jego,

uchylił mu powieki. Jeszcze oddychał cokolwiek, ale powoli i oddech ustał, żyły jego zsiniały na czole — Edward trzymał trupa na ręku. Poza sobą usłyszał nagłe stąpanie koni, a obawiając się napaści, nie rzadkich w tej okolicy, odwiódł czemprędzej pistolet.

Z pobocznej dróżki wypadło dwóch żandarmów, którzy z dobytemi pałaszami prosto do niego zmierzali. Edward widząc ich, uspokoił się nieco, i chciał im opowiedzieć całą przygodę z zabitym, ale jakże się zdziwił, kiedy jeden z nich z konia zsiadłszy, trzymając odwiedziony pistolet przy piersiach, surowym i rozkazującym tonem do poddania się bez oporu jego wzywał.

Nie mogąc wymówić ani słowa stał biedny Edward jak wryty, poznał bowiem dopiero za co go miano.

Miłosierny Boże! wołał Edward, mylicie się moi ludzie, nie jestem uczestnikiem tej zbrodni; zabójca uszedł, gdym się na krzyk zabitego przybliżył, w ową gęstwinę, jego gońcie, a nie zatrzymujcie niewinnego.

Na to rozśmiali się jeźdzcy, a siedzący na koniu tak silnie uderzył go płazem przez barki, że Edward z bólu mocno zakrzyknął. Drugi wydobył z kieszeni mały łańcuszek i skrępował nim tak mocno w tył obojętnego na wszystko Edwarda, że mu żyły nabrzmiały i paznogcie kwią zabiegły. Nie czuł tego i nie bolało go, bo nie był już zdolnym myśleć i czuć. Przejrzano kieszenie Edwarda, odebrano mu pistolet, wydobyto nóż z piersi zabitego a przywiązawszy tłomoczek na barki, naglili go jeźdzcy do prędkiego pochodu.

O ile tylko mógł spieszył naprzód, tak iż pospiech jego stał się pośmiewiskiem jeźdzców. Nie słyszał on ich szyderstwa, nie czuł uderzeń, jakiemi go nieludzko popędzali, biegł tylko ile mu siły pozwalały.

Trzy godziny biegł bez przytomności, dopóki nie upadł zemdlony w pobliżu małej wioski. Leżał bez zmysłów i bez najmniejszych oznaków życia, nie jedno uderzenie padło na potem kipiące członki jego. Z żandarmów, widzących że biciem nie można go było do dal szej zmusić drogi, pozostał jeden na straży przy nim, podczas kiedy drugi do wsi się udał, zkąd niezadługo z kilkoma wieśniakami i zaprzężonym wozem powrócił. Skrępowanego jak bydlę wrzucono na wóz, wymyślając nad nim, a zaleciwszy sołtysowi aby kilku parobków wysłał do pilnowania w boru pozostałego trupa, wracali szybko do miasta Lucern.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

TANIE LECZENIE DOMOWE ROZMAITYCH CHORÓB.

(Ciąg dalszy.)

Dworską chorobę, leczy Rzepik ziele, Agrınonia.
Febrę, leczy Czosnaczek polny i Gencyanna, Jeleni Język (ziele) i Kopytnik.
Głuchotę, leczy Ruta ogrodowa i Betonika.
Gruczoły na szyi, leczy Trędownik, Scrofalaria.
Gorącość krwi, leczy Grzebień (ziele) Jeleni język, (ziele) i Kopr pospolity.
Gorączkę, leczy Krwawnik wodny i Nogietek.
Głowę parszywą, leczy Korzeń Trzciny z mokradzi.
Głowy bolenie, leczy Bazylia, Betonika, Fiołki marcowe, Jałowiec, Konwalia, Kopytnik i Maczek polny.
Kamień pęcherzowy, leczy Chrzan, Czosnek, Rzadkiew, Oman, olej, Szałwia i ziele Świętojańskie, Hipericon.
Kaszel, leczy Perz, Pięciornik, Rzadkiew, i Szałwia.
Konwulsyę, leczy Jagoda ś. Jana.
Kołtuny, leczy Barszcz (ziele), Łopianowy korzeń i ziele Carduibenedicti.
Kolkę i ból żołądka, leczy Anyż polny i Mlecz żółto kwitnący, Tarexacon.
Krwawą biegunkę, leczy ziele Psie języki i Kacanka, Pięciornik i Zangiel.
Laxans, sprawuje Kruszyna, krzew i Senes.
Maciczne defekta, leczy Macierzanka, Bazylia, Majeran, Oman i Melissa cytrynowa.
Na wychodzenie miesięczne, Cebula, Chrzan i Izop, Szałwia, Lubczyk i Świętojańskie ziele.
Na wzbudzenie odchodowej kiszki, Tormentilla.
Na ulgę w ospie, Ruta polna, Wężownik,
Na kurcze, Wrotycz, Rumianek.
Na zgubienie pokarmu, Szałwia.

(Dalszy ciąg nastąpi.)